



## HENRYK CZYŻ

---

Podpułkownik Henryk Czyż, były dowódca Grupy Fortyfikacyjnej nr 93.

---

### Opis pobytu naszych jeńców w obozie Kozielszczyzna.

22 lub 23 września 1939 r. władze sowieckie w Tarnopolu wywoziły transportami kolejowymi wziętych do niewoli i zgrupowanych na stacji osobowej w Tarnopolu. Szeregowych trzymano oddzielnie od oficerów, bardzo rygorystycznie utrudniano przechodzenie jednych do drugich. W ten sposób sformowano transport.

Poprzednio wszyscy oficerowie byli kolejno badani przez kilka grup oficerów NKWD i oficerów liniowych. Przesłuchania odbywały się na piętrze, sposób ich przeprowadzania był dość łagodny – chociaż na wstępie, przypuszczam, każdy musiał wysłuchać całej tyrady zastraszających ostrzeżeń – dopuszczalne było nawet uchylanie się od odpowiedzi przy powołaniu się na przepisy o tajemnicy wojskowej.

Transport przywieziono i wyładowano w Podwołoczyskach. Tu przetrzymano nas dość długo, bo najpierw zaprowadzono na obiad, trzeba było iść trzy kilometry i z powrotem. Następnie przeszliśmy do Wołoczysk, już za naszą granicą, i zaprowadzono nas do majątku Frydrychówka. Tam znaleźliśmy już dużą liczbę naszych jeńców. Ulokowani oni byli w obszernych oborach, na podwórzu między oborami i częściowo w polu. Teren nie był ogrodzony, wartę wokół wydzielonego terenu trzymali umundurowani wartownicy.

W ciągu kilkudniowego mojego pobytu we Frydrychówce wcale nas nie karmiono, jedynie beczkowozami dostarczana była woda w bardzo ograniczonej ilości.

Po paru dniach przybył jeszcze jeden transport. Na czele jego kroczył, udając zucha, płk dr med. Dobrowolski. Transport ten, jak się okazało, przybył nie koleją, lecz pieszo z Tarnopola, skąd ich pędzono kolbami w niemiłosierny sposób.

Ogólna liczba zebranych we Frydrychówce, przypuszczam, wynosiła wtedy ok. 5000. Tu wszystko się pomieszało – oficerowie z szeregowymi – ale ogromną przewagę stanowili oficerowie. Na podwórzu między oborami stały autobusy (polskie), było ich tam kilkanaście i okupowali je lekarze, jako ich lokal.

Niebawem załadowano nas do wagonów i wywieziono; do stacji było około trzy kilometry. Nie mam pewności, czy wszystkie transporty z Frydrychówki były skierowane do Kozielszczyzny. Na drogę był wydany w niewielkich ilościach chleb, lecz wyżywienia nam żadnego nie dali ani na miejscu, ani w drodze. Wieziono nas w wagonach krytych po 40 do 50 ludzi w jednym, a w wagonach czteroosiowych po 80 do 100 osób. W wagonach piecyków nie było, sporo wagonów nie miało prycz. Podczas podróży drzwi były zamknięte od zewnątrz i tego zamknięcia eskorta rygorystycznie pilnowała. Raz na dobę zatrzymywano cały transport w jednym parterowym domku z ogródkiem.

W cerkwi i w budynkach mieszkalnych już zapoczątkowane były roboty przy budowie prycz.

Tu zaczęto nas prawie regularnie karmić (za kilka dni jednak przestano). Codziennie wydawano obiad, chleb, cukier. Często dostawaliśmy marynowane pomidory z poprzedniego urodzaju, których po paru dniach nikt nie chciał jeść, bo były to niedojrzałe, zielone pomidory.

Chleb wydawali nam na razie marny, źle wypieczony. Z chwilą, gdy weszli do piekarni nasi piekarze, jakość jego bardzo się poprawiła.

Jakieśmy stanęli w Kozielszczyźnie, nastąpiła jesienna pora deszczowa, teren stał się rozmokły. Chodzenie po obiad, wodę itp. stało się bardzo utrudnione, bo nogi grzęzły głęboko w tej ukraińskiej glebie. Żadnych chodników na terenie nie było, gdzieś gdzie pozostały ich tylko ślady.

Tu zaczęło się zaraz pisanie imiennych wykazów, nacisk przy tym kładli na tzw. сословіе i uparcie chcieli dociec, kto był szlachcicem. Badania, we właściwym tego słowa znaczeniu, wśród ogółu nie były robione. Powoływane były do biura jedynie jednostki specjalnie upatrzone.

Najuciążliwsze były проверки. Zbierał się na to sprawdzenie stanów cały szereg osób wojskowych i cywilnych, przyglądał się, [a] gdzieś w polu, z dala od stacji, otwierano drzwi i w pasie wzdłuż toru, obstawionym dookoła wartownikami, pozwalano załatwić naturalne potrzeby.

W pierwszych dniach października 1939 r. nastąpił nasz przyjazd do Kozielszczyzny. Jest to duży majątek poklasztorny, odległy od stacji kolejowej (nazwy nie pamiętam) ok. siedem kilometrów, a od Połtawy rzekomo 40 do 60 km. Koło cerkwi rozrzuconych było dużo budynków mieszkalnych murowanych, niektóre piętrowe i kilka dwupiętrowych, nieco dalej zgrupowane były budynki gospodarcze, a jeszcze dalej ogromne chlewy w ilości dziesięciu sztuk. Cały teren był już ogrodzony dwoma pasami drutu, na wszystkich rogach stały wieżyczki wartownicze, a na niektórych karabiny maszynowe i reflektory.

Tu już zastaliśmy sporo naszych, szczególnie policjantów.

Po przyjeździe natychmiast oddzielono oficerów, szeregowych i policjantów. Najpierw ulokowano szeregowych w budynkach, następnie policjantów zebrano w wielkich namiotach, a w końcu oficerów zaprowadzono do chlewów, z nakazem oczyszczenia ich. Lekarze zostali wydzieleni i ulokowani.

Nigdy doliczyć się nas nie mogli. Przedstawiciele władz obozowych zmuszali nas ustawiać się raz w czwórkach, później po dziesięciu w szeregu, jak i to nie dawało pożądanego wyniku, ustawiali po pięciu w szeregu. Trwało to często po kilka godzin i trzeba było stać i brodzić po tym błocie.

Z chwilą, gdy zaczął na stację przybywać materiał do budowy prycz, sprawdzanie stanów zostało zaniechane, a większość ludzi wyznaczono do prac przy wyładunku materiałów, odnoszenia ich z ułożeniem w prawidłowe stosy i noszenia do obozu. Wszystek materiał był noszony, przywożona samochodami i wozami była tylko słoma, która zaczęła przybywać pod koniec naszej bytności w Kozielszczyźnie.

Od samego początku naszego pobytu można było zauważyć skutki destrukcyjnej pracy nad naszymi szeregowymi, mianowicie zachodziły wypadki zgłaszania się do władz sowieckich z prośbą o zapisanie ich jako Ukraińców, Białorusinów itp., częste też były wypadki aroganckiego, prowokacyjnego zachowania się wobec oficerów oraz biegania do władz z ofertami swej gotowości i chęci pracy.

Ten objaw niepokojący spotkał się jednak wkrótce z trzeźwą kontrakcją i poza nielicznymi ukrytymi wyjątkami ogół przeszedł do równowagi. Rozpoczął się jednak niezdrowy handel. Sprzedawano i kupowano wszystko. Przedmiotem handlu były i pieniądze, złote polskie

sprzedawane były po pięć do dziesięciu za rubla. Koc kosztował od 200, a później do tysiąca złotych, w rublach około stu.

Po paru tygodniach pobytu (w końcu października) wywiezieni zostali wszyscy szeregowi. Władze sowieckie upewniały, że jadą do domu. Wywiezieni oni byli do obozu pracy [i zatrudnieni] przy budowie dróg w województwie lwowskim.

W połowie października nastąpiły chłody, w nocy dość silne przymrozki. W chlewach i namiotach zrobiło się wprost nie do wytrzymania z powodu zimna, wilgoci, przeciekania dachów i wciąż spadającej z rozmokłej polepy dachowej gliny (dach był wykonany z trzciny, z polepą z gliny od spodu). W obozie można było zauważyć robotę osób zmierzającą ku podniesieniu wszystkich na duchu. Lansowano pogłoskę, że jest czynny radiodbiornik i że słuchane są audycje. Rozgłaszane były różne wieści ku pokrzepieniu [serc], jak o wystąpieniu Japonii, rewolucji w Niemczech. Pogłoski te nabierały cech niezwykle fantastycznych, tak że już nie odnosiły pożądanego skutku. Próby wprowadzenia ogólnej modlitwy i zorganizowania wzajemnej pomocy spełzły jednak tu na niczym, ponieważ były karane.

W pierwszych dniach listopada wywiezieni zostali wszyscy policjanci.

Pod koniec naszego pobytu w obozie otwarto sklepik, w którym można było dostać w bardzo ograniczonych ilościach machorkę, kiełbasę, scyzoryki, a w ilościach prawie mikroskopowych chałwę. Marna to była chałwa, gdyż po jej zjedzeniu wielu chorowało.

W tym obozie jeńców polskich było mniej więcej: [jak] mówiono, 7000 policjantów, ok. 2000 oficerów, 3000 do 5000 szeregowych.

W drugiej połowie listopada 1939 r. wywieziono nas do Kozielska (w Smoleńszczyźnie) w liczbie ponad tysiąca osób. Przejazd odbył się w wagonach krytych, tak jak uprzednio starannie zamykanych od zewnątrz. Na drogę wydano chleb i śledzie. W drodze niczym nas nie karmiono, z wielką trudnością nalewano nam wody gotowanej.

Jangijul, 29 maja 1942 r.